

Dwa światy

„Dwa światy” to tytuł serialu dla dzieci, który jeszcze niedawno przyciągał do telewizora mojego syna w każde sobotnie przedpołudnie. Film opowiadał o dwóch istniejących równolegle rzeczywistościach: naszej zachodniej cywilizacji i to w formie najbardziej rozwiniętej oraz wymagowanej kultury pradawnej, raczej niechrześcijańskiej, silnie związanej z przyrodą, kontrastowo prymitywnej, konkurującej jednak z tą pierwszą rzeczywistością specyficzną, właściwie magiczną techniką. Taka naiwna, na potrzeby dziecięcej komercji próba przeciwstawienia sobie naszej cywilizacji czemuś w rodzaju kultury pogańskiej, dzikiej. Oba światy, równo zawieszane na szalach dobra i zła, są wyraźną analogią porównania naszej cywilizacji do straconych już przez nas bezpowrotnie kultur pierwotnych, a ocena tego porównania wychodzi naprzeciw powszechnym oczekiwaniom: każdy świat ma swoje plusy i minusy, smutek za utratą rzekomych zalet kultury pierwotnej rekompensuje świadomość zdobyczy cywilizacyjnych, takich jak technika, medycyna, czy sztuka. Być może zbyt poważnie potraktowałam rzekome przesłanie tego, bądź co bądź jednego z wielu wśród masowej produkcji, przygodowego filmu dla dzieci. Skłonił mnie do tego tytuł filmu: „Dwa światy”.

W naszej rzeczywistości na każdym kroku mamy do czynienia właśnie z „dwoma światami”. To świat biednych i bogatych, świat białych i kolorowych, świat cywilizowanych i prymitywnych. Doświadczamy tego podziału zarówno w skali globalnej, odbierając przekazy z telewizji i gazet o światowych proporcjach konsumpcji, biedy i głodu oraz całkiem lokalnie, idąc przez miasto i widząc żebrzące matki i dzieci pod luksusowymi sklepami, w których robią zakupy bogaci. Jesteśmy świadkami zmagania owych dwóch światów, o tak wielu obliczach. Jeden świat wypiera, niszczy drugi. Świat cywilizacji wypiera wszystko to, co tą cywilizacją nie jest, a więc resztki innych kultur, pierwotnych egzotycznych czy ludowych. Świat ustępujący, różnorodny na nieskończenie wiele sposobów, przeważnie dość zrównoważony, nie przestaje istnieć, zmienia się na zunifikowany świat konsumentów, potem służących w końcu żebraków, uchodźców, bezdomnych, bezrobotnych, czy niezrównoważonych psychicznie. I tak oto przestają istnieć tradycyjne, regionalne chałupy, których wstydzą się ich właściciele.

Kiedy tylko mogą przenoszą się do betonowych, jałowych kostek, lub do miast, do równie betonowych i jałowych bloków, dołączając do szarej masy społeczeństwa cywilizowanego, wypełniającej przestrzeń pomiędzy luksusowymi hotelami, biurami, rezydencjami i kościołami. Rozpadają się stare karczmy, znikają drzewa przydrożne, stare sady, zacierają się gwary i narzecza, znikają w końcu kolejne fragmenty naturalnej, wolnej przyrody, odchodzą gatunki. Na miejsce tego wszystkiego przychodzą bezpłciowe, uniwersalne formy, agresywne reklamy, holenderskie jabłonie, egzotyczne rośliny ogrodowe, pizzerie i puby, w kolejne doliny wkracza urbanizacja. Ludzie zamieniają swoje regionalne ubrania i sprzęty, tradycyjne narzędzia i ozdoby na najtańszą tandetę, byleby „zachodnią”, pochodzącą z masowej produkcji. Górale beskidzcy znają jeszcze kilka tradycyjnych potraw i fragmenty starej gwary, ale ich domy wyluzowane są z tradycji, smutne i anonimowe, żałośnie naśladują miasto. Indianie meksykańscy, jak zresztą prawie wszyscy „kolorowi” na świecie, trwają w poczuciu niższości wobec lepszego świata tzw. rozumnych, tych co mówią po angielsku, czy po hiszpańsku i posługują się skomplikowanymi urządzeniami. Stanowią najchłonniejszy rynek zbytu dla tandetnej, obskurnej produkcji Zachodu. Tęsknota za lepszym światem każe im kupować za ostatnie pieniądze T-shirty, Coca-Colę i odpustowe błyskotki. Oto, co dziś znajdziemy w nędznych indiańskich chatkach, zamiast tradycyjnego rękodzieła. Tradycji, która gdzieś jeszcze istnieje na ogół wstydzą się jej właściciele, ta natomiast, która się odradza (ku naszej naiwnej radości) jest tylko towarem w świecie wolnego rynku.

Towarem i to niewiarygodnie cennym, stała się dzika przyroda; wartość przemytu dotyczącego

rzadkich gatunków flory i fauny ustępuje tylko wartości przemycanych narkotyków. Nie pomaga to bynajmniej w ich przetrwaniu, tak jak moda na tradycję nie uratuje tradycji. Rozglądnijmy się wokół siebie. „Tradycja”, która nas otacza to tylko towar. Gliniane, cepeliowskie garnki, kilimy ręcznie tkane, nie znajdziemy ich w domach ich wytwórców, a jeśli tak, to tylko jako ozdobę, nie jako przedmiot użytkowy. Budujemy znów kafłowe piece, ale w tych samych pomieszczeniach nie rezygnujemy z kaloryferów. Wprawiamy okna z drobnymi podziałami, ładne, owszem, tradycyjne, tylko, że drobny podział okien wynikał kiedyś z tego, że wyrabiano tylko małe szybki. Dzisiaj jest to zabieg wyłącznie estetyczny, ku utrapieniu gospodyń domowych (produkuje się już okna ze szprosami wpuszczanymi pomiędzy szyby, tak aby nie utrudniać zabiegu mycia). To samo dotyczy suszonych ziół wiszących w kuchni i wielu innych elementów tradycji, które stały się ozdobą, ekstrawagancją, pozą, a z życiem nie mają nic wspólnego. Tęsknimy za tradycją, za swoim bioregionem, ale jesteśmy ofiarami cywilizacji. Naszą drugą tęsknotą jest luksus i nieograniczona konsumpcja. Mówi się, że Indianie i inni przedstawiciele Trzeciego świata też tęsknią za cywilizacją. To nieprawda. Ci, co piją w knajpach, harują na plantacjach i tęsknym wzrokiem wyglądają ze swoich nędznych chat za „lepszym światem”, to nie są już przedstawiciele innych kultur. To są ofiary cywilizacji.

Dziś, poza pojedynczymi plemionami w Ameryce Środkowej i Południowej, broniącymi ostatkiem sił swoich miejsc i kultur, nie ma już prawdziwych Indian. W Ameryce Północnej ich już nie ma. Zostali ucywilizowani w wyniku zmuśnionego, okrutnego i tragicznego w skutkach procesu. Proces ten trwał wbrew pozorom długo i w wielu miejscach jeszcze się nie zakończył. Żeby „ucywilizować” święta, które najczęściej wynikały z rytmu przyrody, trzeba było i trzeba nadal ludność przesiedlać, by zmienić warunki klimatyczne, relacje z otaczającą przyrodą, zmienić uprawy i związany z nimi cykl. Trzeba było rozdzielić sztukę od życia codziennego, by ta stała się towarem; pracę od przyjemności, czas wolny od obowiązków. Rozdzielić wszystko to, co stanowiło kiedyś jedność. Stosowano przemoc, i represje. Nowa religia stopniowo zastępowała starą, elementy jednej i drugiej mieszały się, przeplatały, nie będąc w efekcie już ani jedną, ani nigdy tak do końca drugą. Istotę zmagania tych dwóch rodzajów kultur i różniących je hierarchii wartości widać wyraźnie na przykładzie walki z obrzędem „Potlatch”, obrzędem, który przysparzał misjonarzom i urzędnikom państwowym najwięcej kłopotu.

Jakże wspinały był to obrzęd i jak czytelnie ukazywał przepaść, jaka dzieli nasze cywilizacyjne priorytety od praindiańskich. Już sama nazwa jest znamienna, oznacza „dawanie”. W obrzędzie tym, zawarte były elementy społeczne, kulturalne, duchowe, polityczne i ekonomiczne. Były to kilkudniowe zgromadzenia, których celem było zademonstrowanie całej społeczności, w sposób rytualny, aktów przekazywania imion, praw, czy przywilejów, podkreślenie i zatwierdzenie przez świadków wszystkich ważnych wydarzeń społecznych i politycznych. Towarzyszyło temu rozdawanie dóbr długo przedtem gromadzonych i wytwarzanych, które stanowiły zapłatę za publiczne uznanie tych wydarzeń i zachowanie ich w pamięci członków społeczności. Wszystko to wzbogacone o tańce, śpiewy i działalność artystyczną, legendy i opowieści o poprzednich tego typu zgromadzeniach. W ten sposób utrzymywano ciągłość tradycji i pamięć historyczną obywając się bez pisma i dokumentów na papierze. Ceremonia ta była, rzecz jasna bardzo zróżnicowana u poszczególnych plemion na wybrzeżu północno-zachodnim i trudno ją opisać w kilku zdaniach, by nie uniknąć uproszczeń. Ale to, co było solą w oku siewców nowego porządku, to dawanie, rozdawanie dóbr. Uczestnicy obrzędu, którzy byli obdarowani i tak później pozbywali się tych dóbr, w którejs z następnych ceremonii Potlatch, której oni byli gospodarzami, . Była to nieustanna wymiana przedmiotów, odzieży i żywności. Indianie nie znali zwyczaju gromadzenia majątków materialnych. Była to jedna z największych trudności na drodze do cywilizacji. Obrzęd Potlatch szybko stał się zabronionym obrzędem jako pogański, marnotrawny i utrzymujący przy życiu niepożądaną tradycję. Spotkał go los podobny do losu wielu innych obrzędów i ceremonii wszędzie tam, gdzie ludzie i zwierzęta, rośliny i żywy, życie i śmierć, duchy, mity i legendy stanowiły nierozzerwalną całość.

Składając broń w tej okrutnej wojnie jednego światopoglądu przeciwko wszystkim innym Indianie i my wszyscy zresztą, otrzymaliśmy w darze nowe namiętności: konsumpcję, gromadzenie dóbr i pieniędzy w bankach, otrzymaliśmy też strach przed śmiercią, i niewyobrażalną pustynię duchową, w której sterczą jak upiory pytania pozbawione odpowiedzi.

Ogołociliśmy nasze życie z tak wielu stanowiących je aspektów, takich jak śmierć (jakże otwarcie akceptowana i wręcz celebrowana przez kultury pierwotne jako dopełnienie życia), duchy, moce, różne stany świadomości, określając arogancko to, co realne i rzeczywiste, a co nieprawdziwe. Przekreśliliśmy naszą przeszłość, nasz własny rodowód. Stworzyliśmy sobie iluzję rzeczywistości, w której czujemy się tak potwornie samotni. Jakże żałosne są próby odnalezienia duchowości czy poczucia wspólnotowości w takich komercyjnych, lub wręcz sekciarskich w najgorszym tego słowa znaczeniu, strukturach jak AMWAY. „Tu odnalazłem sens życia, poczułem łaskę uświęcającą Pana spływającą na mnie, Amway pokazał mi drogę” – tak brzmią wypowiedzi „diamentów” Amwaya. Nie starcza wyobraźni, by przewidzieć ciąg dalszy procesu, który trwa i w którym jakoś wszyscy uczestniczymy. Ale życie ma to do siebie, że się zmienia, proces trwa, ale jego bieg może zawrócić. Dlatego chce mi się bronić mitu Indianina. Mitu „lepszyc czasów” naszych dziadów i pradziadów. Mitu stworzonego na bazie pewnie bardzo powierzchownego romantyzmu, który stał się ostatnio przedmiotem zainteresowania wielu historyków i antropologów i poddany został procesowi obalania. Nie było „złotego wieku”, harmonijnej wsi, szlachečných Indian ani innych szlachečných, harmonijnych kultur pierwotnych. Indianie wybili wszystkie większe ssaki Ameryki, kultury pierwotne były krwawe, okrutne i w swoich przejawach nie do przyjęcia dla nas dzisiaj subtelnych istot o łagodnych obyczajach (?). Pewnie tak, ale właśnie ta nasza tęsknota za światem harmonii człowieka z przyrodą, człowieka z człowiekiem, światem sprawiedliwości i duchowości, jest dowodem na to jak wiele straciliśmy i tracimy, wciąż szerząc kulturę zachodnią i niszcząc wszystkie inne.

Potrzeba mitu jest nadzieją na możliwość powrotu, lub (bo w historii nie ma powrotów) odwrócenia tego procesu, nadzieją pokonania chimer naszej potwornej cywilizacji. Więc bronię tego mitu, w którym, jak w każdym, musi tkwić doza prawdy. Bronię tego powierzchownego, ale wielkiego romantyzmu, który pozwolił zachować strzępy kultury indiańskiej w rezerwach i utworzyć pierwsze parki narodowe. Romantyzm ten pewnie niewiele znaczy, ale może być kładką na drodze ku głębszej duchowości, a mit „lepszego świata” jedną z niewielu rzeczy, do których na tej drodze można się odwołać.

Marta Lelek